

się po stronie ścianie wąwozu powiedziała półgłosem:

— Czy i na panu robi ten las wrażenie ciszy i spokoju? — a na potakujące skinienie głową mówiła dalej: — ta pnąca się fala zieleni stoi jak na straży przed wszystkim, co mogłoby zamącić spokój i ciszę, i wie pan, czuję się jak gdyby ukołysana do nader miłego snu, z którego nie chciałabym się zbudzić.

— Mówi pani, jak człowiek stęskniony do spokoju po smutnych i bolesnych przejściach.

— O nie! Nie mam w sobie żadnej goryczy, żadnego żalu, żadnego niepokoju. Jestem, jakby jednym z tych drzew i cieszę się słońcem, niebem, tymi wirchami, które czuwają nad tym leśnym wąwozem.

Na Borowieckim ta cisza leśna, gorąca a wonna opary, samotność miejsca, oddzielenie górami od świata, zrobiły inne wrażenie. Nie dość mu było być z nią, sam na sam, słuchać jej głosu, czuć ją przy swym boku, zapragnął przedłużyć tę chwilę na długo... długo, na całe życie. Chciał ją objąć, utulić, w myśli całował jej słiczne usteczka, w oczach szukał wyznania miłości. I gdy ona tak spokojnie, równo, mówiła swym melodyjnym głosem o szczęściu spokojnym, cichem, porównując się do smreka stojącego nieruchomo w ciszy wieczornej, u niego grała krew, biły mu pulsa, pragnął wyzwolenia sił, które go rozpierały. Słuchając jej, zamarzył, jakby to było rozkosznie, gdyby oboje zbłąkali się na wirkach Tatr, wśród turni i przepaści, tam byliby zupełnie sami, i żyliby tylko dla siebie. Zablżył mu oczy, przycisnął silniej jej rękę do siebie, wtęm ona spytała:

— A pan jak odczuwa tę ciszę i spokój?

— Ja? — zbierał szybko rozstrzelone myśli, — ja wcale jej nie odczuwam, wołałbym burzę, wichry, pioruny. Ta cisza podobna jest do letargu, do zrezygnowanej śmierci.

Spojrzała na niego zdziwiona, pierwszy raz nie zgadzały się ich wrażenia i uczucia. Patrząc mu w oczy badawczo, spytała słodko:

— Co panu jest? Co się stało?

— Wie pani, w pewnym napięciu uczuć i pragnień można żyć czas jakiś, nawet ludzić się trwałością takiego życia... ale jeśli strunę się przeciągnie.

— Nie rozumiem pana, — prze-rwała mu, — skąd ta nagła zmiana? i poci chce pan burzyć ten spokój? czy panu tak źle? Poci wywoływać burze, wichry i pioruny, gdy życie płynie tak cicho, pogodnie, czysto?

Borowiecki już opanował siebie i odpowiedział z cichym westchnieniem:

— Więc pływamy... chociażby bez celu.

— A poci pytać, kiedy róże zwiędną, czy nie dość, że są i kwitną? — uśmiechnęła się z łagodną tęsknotą.

Borowiecki miał na ustach prośbę, ażeby mu pozwoliła ucałować tę różę i zachować przy sobie, i nagle, niewiedomo skąd, wspomniawszy, że ona ma męża i dziecko, że starając się o pozyskanie jej miłości nie tylko krzywdzi obcego człowieka, ale w życiu tej ukochanej kobiety wprowadza rozdzźwięk, niepokój, nieszczęście, a sam schodzi do rzędu zwykłych uwodzicieli. I czyż taki ma być koniec romansu, rozpoczętego tak idealnie, tak pięknie, z kobietą nie tylko prześliczną, ale obdarzoną tak jasnym, promiennym duchem, tak niepospolitym umysłem, którą spotkał chorą, nieszczęśliwą, złamaną życiem?

W głębi duszy przyznawał sobie, że dzięki swej przyjaźni, troskliwości i dbałości w usuwaniu od niej rzeczy przykrych przyczynił się w znacznej mierze do jej wyzdrowienia.

A teraz żąda nagrody, opłaty za swe starania i stawia cenę najwyższą, jakiej można zażądać od kobiety, bo pragnie jej wzajemności, wiedząc, że ona może to uczynić tylko pod warunkiem zaparcia się swej przeszłości, złamania danego słowa, okłamania i oszukania męża. Czy to jest godne człowieka honoru? Czy to jest droga miłości, której celem jest pełnia szczęścia i jej i jego?

Sam dla siebie poczuł pewien rodzaj pogardy, ochłonił zupełnie z chwilowej namiętności, a widząc ją tak spokojną, łagodną, rozjaśnioną, rozmyślał z rozczuleniem, jaka ona czysta, niewinna, szlachetna i bardzo pokornie przeproszał ją w duchu, że zbrudził myślami jej promienną postać. O ileż ona jest od niego lepsza, szlachetniejsza, czystsza, patrzył na jej pogodną, uśmiechniętą twarzyczkę; na białe, gładkie czoło; na oczy spoglądające na świat z zaufaniem i wiarą dziecka.

— Pani ma słuszość, — odezwał się po chwili, — życie jest warte zachodu, pracy, wysiłków, o ile jest spokojne, harmonijne, dalekie od burz i zachceń egoistycznych.

— Tak, to lubię, — zaśmiała się, — jesteś pan znów sobą, a teraz powiedz pan szczerze, co było powodem zachcenia burzy, piorunów i zmian jakichś? — patrzyła mu w oczy wesoło.

— Co?... Wie pani, — uśmiechnął się łagodnie, — na mnie sprawdziła się przypowieść ludowa: „Dziad o chlebie, baba o fijołkach“.

— Jakto? — zdziwiła się.



Ze stronnej, lesistej skały zbiegła Dorcia.

— Ja, jako dziad, chciałem czarodziejski, wonny kwiat ściągnąć na ziemię i zrobić z niego chleb codzienny... ale to już minęło. Przekonałem się, że kwiat ten może żyć i istnieć, tylko między niebem a ziemią. Zerwany i przeniesiony na ziemię, staje się trucizną.

— Pan naprawdę jest człowiekiem, — przycisnęła się do niego i spuściła oczy, bo czuła, że łzy napływają; po dobrej chwili dodała cicho: — jak to dobrze z panem!

Szli dalej bez słów, zasluchani i zapałzeni w siebie. Rozpamiętywali oboje historię swej znajomości.

On rozczulał się nad jej dobrocią, współczuciem z nim, nad zgodnością zapałowań i wrażeń, a rozpyływał się nad pięknoscią wyrazu twarzy i oczu, nad jej głosem dźwięcznym, nad jej ruchami tak harmonijnymi, tak dostrojonymi do danej chwili i wrażeń.

Ona podziwiała go i czuła głęboką wdzięczność dla niego, za jego delikatność, za unikanie wszystkiego, co mogłoby ich idealny stosunek zepchnąć na drogę banalnego flirtu i ubiegania o względy młodej mężatki. Jaki on inny od wszystkich mężczyzn, jaki daleki od brutal-

nych zachceń, on żyje w świecie idealnym i szuka tylko harmonijnego zbliżenia się dusz.

I taki rycerski, taki prawy charakter, bez obłudy i fałszu. Jak szczerze przyznał się do egoistycznych zachceń i pragnień. I taki ładny był, taki miły, gdy mówił o tym kwiecie miłości czystej, dalekiej od brudów świata. On naprawdę jest poetą, który pragnie tylko zjednoczenia umysłu i serca, nie tak, jak inni, a w pierwszym rzędzie jej mąż. Dla niego dusza i jej potrzeby są urojeniem, nad którym nie warto się zastanawiać, bo dla niego, który jest jej mężem, istnieje tylko ciało.

Była nad wyraz rozczulona do swego towarzysza i poczuwając się do wdzięczności, przemysliwała, co mogłaby uczynić, ażeby on był szczęśliwy i zadowolony.

Wtęm zdala, z górnego lasu, odezwał się dźwięczny, wesoły głos Dorci:

— Hop! Hop!... Gdzie wy?

Odpowiedzieli jej oboje i wkrótce ze stronnej, lesistej skały zbiegła Dorcia, zarumieniona, z błyszczącymi oczyma, z pękiem zieleni w ręku, wołając zdaleka:

— Wiecie... spotkałam wiewiórkę! Biegłam za nią... Ach, jaka ona słiczna, zgrabna i słusznie nazywa się „tanecznica borów“, — zbliżyła się do idących.

— Dorciu!... A twoja sukienka! — upomniała ją pani Wanda.

Dorcia spojrzała na spodnicę rozdartą, którą spięła agrafką i usprawiedliwiała się, jak skarcone dziecko:

— To nic... zaczęłam o wystający sęk, czy gałąź i rozdarta się, ale ja to doskonale zaceruję... nie będzie znać.

— Obróć się, Dorciu... rozdarłaś w dwóch miejscach... a, i rękaw.

— Czy to moja wina! — zaczęła wienić się, — to ta wiewiórka.

— Naturalnie, że to ona, — zaśmiała się pani Wanda z przyjaźnią, — na szczęście mamy powóz, bo nie doszłabyś w tej sukni.

— A bukiet ładny? — prezentowała z uśmiechem snop traw i świeżej zieleni gałęzi smreków.

— Na szczęście mamy powóz, bo nie doniosłaby go pani do zakładu, — uśmiechnął się Borowiecki.

— Zdawałoby się, — zaśmiała się Dorcia, — że całem moim szczęściem jest powóz.

— A czy nie byłby symbolem, gdyby cię wiozł do ślubu? — uśmiechnęła się pani Wanda.

— Może dawniej, ale nie dziś.

— Skądże ta zmiana?

— Zobaczyłam, że mężatką być, a szczęście, są dwie różne rzeczy, dość widzieć panią Łotuską.

Wszczęła się rozmowa o gościach zakładowych, dawniejszych i świeżo przybyłych.

Zdawało się Borowieckiemu przez kilka pierwszych dni, że dawny stosunek do pani Wandy nie uległ zmianie. Niemal całe dnie i wieczory, tak jak poprzednio, spędzał

w jej towarzystwie, ale spostrzegł, że niezwykłą przyjemność sprawia mu uścisk jej ręki, że częściej i dłużej aniżeli potrzeba całuje jej ręce; że ognie uderzają na niego, gdy przypadkiem dotknie się jej; i że niemal zawrotu głowy doznaje, gdy przy nachyleniu się nad nią zaleci go zapach jej włosów i ciała.

Drażniły go te oznaki namiętności, nie dlatego, że były, gdyż uważał je za naturalne, ale że nie mógł zapanować nad niemi i że w stosunku, jaki się ukształtował pomiędzy nim a panią Wandą, były one bezcelowe.

Ten swój niepokój wewnętrzny przypisywał atmosferze panującej w zakładzie, gdzie flirtowano zawsze i przy każdej sposobności.

— Czy zauważyły panie, — mówił jednego wieczora, gdy zasiedli we troje do herbaty w pokoju pani Wandy, — że z wiosną cały ten zakład oddycha miłością. W atmosferze czuć drganie tego eteru, który budzi uśpione pragnienia, senne marzenia, ukryte pożądania.

(Ciąg dalszy nastąpi).